



PORTRET

Foto: M. Kopeć

Emil Granat

Odbitki

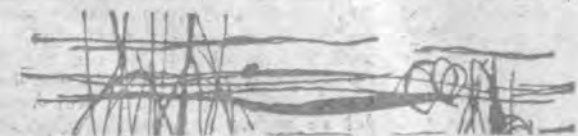
Określam ludzi i przedmioty,
określam rzeczy, zdarzenia, zjawiska
maluję obrazy
szkicuję twarze
miedziorytuję rysy w miedzi —
rzucam odbitki,
rzucam zdania, słowa i zgłoski
depczę
potem podnoszę,
zdmuchuję pył, przemywam,
zmieniam kolory
i znowu wiązę
splatom
w historię
w dzieje.

Rzeszów, czerwiec 1961 r.

Andrzej K. Waśkiewicz

Samoportretowanie w pejzażu

i oto stoję zamknięty w przecuciu
spod stóp wyrwana ziemia już się pali
i droga zakosami ucieka wciąż wyżej
niżej ja — jako mrówka — drążący korytarze
w zapamiętanych pejzażach w rzeczach nieobecnych
w termiery wykluczeń z dawnych spojrzeń splecione
niosą ziarno zieleni w ugiętych brunatniejących
tu w pędzie przeszłych mitów jeszcze brzęczy pszczoła.



Wiesław Kulikowski

Malarka

Wstawiała codziennie o wschodzie ostu,
który gasł pod pędzlem
wypływającym krzykiem,
sercem rozwianym —
— zrywała kwiaty ze sukni.
Stojąc na niewidzialnych, klujących kolorach
otwierała dłońmi najjaśniejszy pejzaż,
malowała milczeniem.

Jan Grygiel

RZESZÓW LITERACKI?

W dniach 13—14 I. br. obraduje w Rzeszowie ogólnopolskie seminarium członków Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy. Tematyka seminarium wiąże się z twórczością młodych prozaików. W obradach bierze udział około 80 uczestników reprezentujących ośrodki KKMP z całej Polski i kilku wybitnych pisarzy starszego pokolenia (m. in. Julian Przyboś, Stanisław Piętak, Wilhelm Mach i in.). Organizatorem imprezy jest rzeszowski ośrodek KKMP. W związku z tym publikujemy artykuł mówiący o założeniach klubu.

NAJPIERW było kilkudziesięciu młodych ludzi ze wsi i miasteczek rozsianych po całym kraju. Wysyłali swoje wiersze czy fragmenty prozy do wielu redakcji pism i wydawnictw. Czasem udało im się zobaczyć swój utwór w takiej czy innej gazecie, częściej otrzymali zdawkową odpowiedź „nie skorzystamy”. Niekiedy i takiej odpowiedzi nie było a już na pewno nie mogli liczyć na gruntowną ocenę i pomoc przy pierwowcinach twórczości. Także i te opublikowane wiersze wywoływały odgłos nie większy jak kamień wrzucony w studnię. Z kimże mógł debiutant porozmawiać na temat poezji, na temat swoich utworów? Z panem profesorem?... Ale polonista miejscowy nie zawsze miał zrozumienie dla poezji innej niż Mickiewiczowska. Droga zaś do krytyków czy uznanych poetów była z Ropczyc, Wadowie czy Ostródy bardzo daleka.

W takiej sytuacji powstał przy Zarządzie Głównym Związku Młodzieży Wiejskiej Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy. Zadaniem Klubu było ułatwienie startu literackiego młodym, żyjącym poza ośrodkami kulturalnymi; konfrontacja ich pierwowcin z życiową krytyką, stworzenie im namiastki środowiska artystycznego. Do dyspozycji bardziej dojrzałych oddano łamy „Nowej Wsi”, „Zarzewia”, czy „Tygodnika Kulturalnego”. Do tej chwili Klub ma już bogaty dorobek. Skupia prawie 800 osób z całego kraju, może poszczycić się kilkunastoma pozycjami wydawniczymi, zawierającymi twórczość literacką młodych oraz stałą obec-

nością członków ze swoimi utworami na łamach wielu pism.

Wkrótce okazało się, że z obszaru województwa rzeszowskiego spora garstka ludzi korzysta z usług Korespondencyjnego Klubu i że roją oni nadzieję na przyszłość. Dzięki pełnemu poparciu i opiece Zarządu Wojewódzkiego ZMW wyloniła się możliwość utworzenia w Rzeszowie oddziału Klubu. Wkrótce oddział taki powstał — skupiał dwunastu młodych poetów, którzy mieli już przeważnie za sobą debiuty w pismach. Zaczęto tu i ówdzie mówić o poetyckiej grupie „dwunastu” w Rzeszowie. Było to jednak nieporozumienie. Nikt nie myślał o ustaleniu wspólnego programu poetyckiego. Klub miał w miarę, bardzo zresztą ograniczonych, możliwości zastąpić młodym środowisko twórcze, bezpośredni kontakt z wybitnymi poetami i krytykami oraz dostęp do pism. „Nowiny Rzeszowskie” i „Rozgłosnia Polskiego” w Rzeszowie wykazały dużo życzliwości i zrozumienia dla wysiłków członków Klubu. Oprócz pojedynczych wierszy drukowano w „Nowinach” całe kolumny poetyckie KKM-u. Radio nadawało kwadransy poetyckie rzeszowskich poetów.

Poza tym niektórzy z młodych (Tadeusz Piekło, Wiesław Kulikowski, Wincenty Zawirski, Krystyna Szymonowicz, Cz. Piotr Kondraciuk) coraz częściej publikowali wiersze na łamach prasy ogólnopolskiej. Jednodniówka „Próby Literackie” tu wydawa — stała się dalszym dowodem aktywności rzeszowskiego oddziału

KKMP. Podjęto także akcję wieczorów autorskich umożliwiających debiutantom pierwszą bezpośrednią konfrontację z czytelnikiem.

Dzięki pomocy finansowej Zarządu Wojewódzkiego ZMW i Wydziału Kultury WRN udało się sfinalizować wydanie „Almanachu poezji rzeszowskiej” zawierającego przeszło 70 utworów kilkunastu młodych poetów. Jest to, jak dotąd — najpoważniejsze osiągnięcie Klubu.

Poczynania te spotkały się z żywym zainteresowaniem uczestników Zjazdu Pisarzy Ziemi Rzeszowskiej. Od kilku już lat z tego regionu, który wydał kiedyś tak wielu pisarzy nie wszedł do literatury żaden nowy wybitny talent. Może właśnie teraz, młodzi wypełnią tę lukę? Jeżeli z tego grona kilkunastu piszących przynajmniej dwóch, trzech wypłynę na szersze wody będzie to duży sukces.

Wiersze członków Klubu na pewno nie są jeszcze dojrzałe artystycznie. Cechuje je często nieporadność i naiwność. Ale mówią o awansie kulturalnym dawnej Polski zaściankowej, ukazują ścisły związek poetów z krajobrazem i atmosferą rodzinnych stron. A przecież na takim powiązaniu poezji z życiem codziennym kraju szczególnie nam zależy. Ten walor autentyczności i związków uczuciowych z regionem dostrzega Artur Międzyrzeczki, pisząc we wstępie do „Almanachu”:

„...Almanach rzeszowski wydajeją młodzi poeci, których łączy wspólne miejsce debiutu w sztuce, spokrewniają krajobrazy dzieciństwa i młodości, skupiają wspólne przestrzenie refleksji, wyboru i poetyckich zaangażowań. Nie jest to ani grupa formalna, ani szkoła poetycka, ani nawet środowisko o podobnych sposobach i skłonnościach artystycznych. Sprawdzalny świat wspólny, w którym osadzają się sprawy tak w poezji ważne, jak wiedza i pamięć i tak intymne, jak wyobraźnia, pozwolili jednak różnym i niepodobnym do siebie autorom działać wspólnie i uczynić ze swego klubu w Rzeszowie ośrodek poważnego zainteresowania się poezją jej losami i perspektywami...”

Zygmunt Wójcik

Kelnerka

Koraliku
urwany
z kolii nawoływań
potoczyłeś się
między
wyznania
uśmiechy
lży
i interesy
by podać
kawę
z zapłaconym
— proszę.



Józef Kurylak

Cmentarz

tu kropla bacha
po ciemnej korze nocy spływa
krew rdzenia wzbiera lat tętentem
jak oniemiałe drogi świerszczy
przez karłowatych koni karość
biegną dzieci glinianej orkiestry
czerwone krzaki śmiechu horyzont oddala



zaspasy dziecięcych palców
na mrozie tulą się do siebie drzewa
w kropki bacha dziecko grożące zamieci
księżyc wchodzi do śniegowej muszli
hamlet zadumany nad niemieckim pociskiem
1961 r.

SAMOTNOŚĆ

ZYGMUNT TRZISZKA

ZAWSZE był samotny, mały, niepokątny, przybył do wsi jako jeden z pierwszych osadników. Widać, że nie gonili za bogactwem, bo mając do wyboru okazały dom i prawie kurną chatę, wybrał tę drugą. Zamieszkał w chatce tak nędznej, że dziw, iż chwalący się z gospodarności Niemcy mogli coś tak lichego wybudować. Piętnaście lat temu, kiedy Szeched był jeszcze silniejszy, oporządził sobie mieszkanie, bieląc je dookoła. Nie można właściwie powiedzieć, że był samotny, samotnicy nie lubią nawet zwierząt, a Szeched miał ich wiele. Ładną krowinę Siwulę, owcę, kota i kilka kur. Siwula była prawdziwą żywicielką samotnika. Codziennie Szeched nioś do zlewni mleka trzy litry żyłodajnego płynu, mając po drodze, wstępował do spółdzielni i robił wymianę towarową, za przyniesione jajka otrzymywał trochę cukru, soli i czasem innych produktów.

Wszyscy się nad nim litowali. — Biedny człowiek, szkoda, że nie ma żony, samotność jest zawsze ciężka. Padły różne sentencje i przysłówia. Najsmutniejsze miał chyba święta, spędzał je zawsze samotnie i nie przyjmował zaproszeń sąsiadów.

Samotnik co roku opuszczał wieś i piechotą udawał się do pobliskiego miasta. Nie wracał wcześniej niż po pięciu dniach. W tym czasie sąsiedzi opiekowali się jego dobytkiem. Nikogo nie dziwiło, że wyprawy te zbiegały się z Zielonymi Świątkami. Wszyscy sądzili, że odwiedza rodzinę, a że Szeched był milczący i zamknięty w sobie, niczego dowiedzieć się nie mogli.

I tak zostaloby chyba do końca, ale nieoczekiwanie życie Szecheda zmieniło się. Do wsi przybył nowy proboszcz. Pasterz ten koniecznie chciał mieć jedną owczarnię, nie znośił odmiennej wiary i zbyt dosłownie wypełniał swe powinności. W wyszukaniu niewiernej duszy pomógł mu przypadek. Józek Okra przyłapał raz Szecheda na podejrzanym zajęciu, staruszek przykucnięty coś mruczał. Józek opowiedział wszystkim, nawet kierownikowi szkoły i księdzu.

— Proszę pana, Szeched chyba głupi, albo co, widziałem jak bił głową do ziemi i mówił: Ala, Ala, pewno czytać się uczy z tej strony o All i lall. Dostał za to odprawę, żeby starszych nie przedrzeźniał.

Za to ksiądz zaraz się tą sprawą zajął. Za kilka dni wiedział już wszystko i pouczył młodzież. — Szeched, droga młodzieży, to wielki grzesznik, poganin. Nie chodzi do kościoła i wierzy w bożków, w złotego cielca.

Nadeszła zima i okres koledy proboszcza. Pasterz postanowił nawrócić Szecheda. Ministranci opowiadali potem, że Szeched byłby wcześniej przekonany księdza.

Okazało się, że Szeched po prostu jest wyznawcą islamu. Nie wiadomo tylko, dlaczego nie osiadł wraz z innymi współwyznawcami w pobliskim mieście. Mieszka tam spora grupa Tatarów z Wileńszczyzny, ale nikt im nie dokucza, może czasem obdarzy niewinnym epitetem Turków kawowych. Modlą się z Koranu i obchodzą swój „Ramazan-Bajram” i „Kurban-Bajram”.

Od czasów rządów nowego proboszcza nastały dla Szecheda złe dni. Nigdy nie korzystał z pomocy sąsiadów, ale teraz sąsiedzi zaczęli stronić od niego. Ksiądz groził potępieniem.

Nikt nie wiedział ile lat może mieć Szeched, nadal trzymał się prosto i jak dawniej gołił całą głowę. Jednak tego lata staruszek zachorował, z trudem radził sobie z Siwulą i nie mógł chodzić. Dewotki od razu z zadowoleniem zauważyły, że grzesznika dosięgła kara boska. Staruszek stał coraz bardziej. Siwula porykiwała częściej, na pewno z głodu. Podwórko nie świeciło jak dawniej czystością. Nikt nie wiedział i nie interesował się tym, kto kupuje samotnikowi żywność, sam teraz nie wychodził poza obręb swej zagrody, opierając się na lasce. Czerwiec dobiegał końca, dzieci przestały chodzić do szkoły i dopiero po wyjeździe na wakacje ośmioletniego Grzesia, okazało się kto pomagał Szechedowi. Staruszek został na pastwę losu. Dawniej Grzesio bez wiedzy rodziców, idąc do szkoły niespostrzeżenie wstępował do samotnika, rozmawiał z nim krótko, brał jajka, a wracając ze szkoły przynosił żywność.

Szeched był teraz bezradny, może gdyby nie okres żniw, ktoś mimo zakazu księdza byłby mu pomógł, ale teraz każdy miał dość własnych kłopotów i roboty. Nie wiadomo czy najbliższy sąsiad Grześniak byłby poszedł zająć co się dzieje u Szecheda, gdyby okropny, przeraźliwy ryk Siwuli nie

przeszkadzał mu już drugą noc z kolei w spaniu.

— Do diabła, kłął zaspanym głosem, człowiek nahańuje się przez cały dzień i przez jakiegoś Mahometę spokojnej nocy nie ma. Po naradzie z żoną zdecydował zająć, co się dzieje u Szecheda. Gdy rano zajął do staruszka, ten już nie żył, a ciało się rozkładało. Zawiadomił innych. Szybko przewrócili mieszkanie, przerzucając wszystko z kąta w kąt w poszukiwaniu czegoś wartościowego. Po dłuższym penetrowaniu znaleźli uciulanych kilka tysięcy.

Ksiądz miał zdecydować na co przeznaczyć pieniądze. Ojciec Grześ szybko dowiedział się teraz, że właściwie jemu coś się należy, bo syn pomagał poganinowi i szybko Siwulę zaprowadził do siebie. W ten sposób lista dobroczyńców powiększyła się, a ubogie mienie topniało.

Po długich targach i naradach pod przewodnictwem najprędniejszych dewotek zdecydowano, że pieniądze słusznie należy dać księdzu, przecież chciał nawrócić grzesznika, może teraz ten datek na kościół, coś mu pomoże. Ksiądz nie miał nic przeciwko temu, zgodził się.

Ta skromna łapówka nie pomogła nie Szechedowi, proboszcz nie zgodził się, by ciało spoczęło wśród prawych chrześcijan. Szeched spoczął w bezimiennej mogile i tylko dobry księżyc w jasne noce patrzył dobrotliwie i żał mu samotnika.



rys. A. Jakubowicz

W 80 rocznicę urodzin pisarza — rewolucjonisty

Lucjan Rudnicki — robotnik pióra

Trudno mi się obejść bez osobistych wspomnień. Debiutowałem w czasie, kiedy ukazał się tom pierwszy „Starego i nowego”. Z pięćdziesięciu własnych wierszy pod pachą czytałem wszystko, pragnąc podpatrzeć „tajemnice” literatury prawdziwej. Byłem wybredny, szukałem literatury, która by mogła mnie utwierdzić w wybranej drodze życia. Miałem 20 i parę lat i wspomnienie o ZWM-ie — taki był wymiar rewolucji mojego pokolenia. Potem przeczytałem „Stare i nowe” i zamilkłem. Zrozumiałem, że literatura to po prostu życie. A za tym jednym odkryciem przyszło dalsze — odkryłem dawność własnej rewolucji. Dla mnie świat zaczynał się na parę miesięcy przed wrześniem 1944 roku, pamiętałem Mickiewiczowską przepowiednię i nie pytałem się, co było przedtem. Przyznam się, że przechorowałem długo tę lekcję rewolucyjnej skromności, którą mi dał, sam o tym nie wiedząc, towarzyszył Lucjan Rudnicki.

Zastarawiałem się zawsze nad fenomenem polskiej kultury — jakim jest Rudnicki. Rewolucja i literatura nie jest zawodem, jest tylko pasją, jest zaufaniem wobec życia. Powiedzieć, jak rozdzielił postać Rudnickiego — czy jest więcej rewolucjonista, czy pisarzem, stylizą czy działaczem klasy robotniczej. Nie wiem, czy podział taki jest możliwy. Lucjan Rudnicki nie zmienił bowiem zawodu, zmienił tylko środki oddziaływania, pracę agitatora i mówcy zamienił na pióro pisarza. Jest drugim autorem, któremu w pełni przysługują to miano. Obok Władysława Broniewskiego, jest

robotnikiem pióra. Taki tytuł, najbardziej zaszczytny, nadała mu polska klasa robotnicza, gdy słowa pisarza uznała za własne.

Rudnicki jest wielkim, epickim kronikarzem historii polskiej klasy robotniczej. Nie wierzę pod tytułom, że kolejne tomy „Starego i nowego” są częścią biografii. Jeśli często tęsknimy za typowym bohaterem, który by w swojej biografii zamknął całą prawdę wieku, to Rudnicki jest na pewno takim powieściowym bohaterem. Piszę — powieściowym, dla tych wszystkich, którzy by w proletariackim eposie chcieli dojrzeć tylko kawałek biografii. Zawsze dowierzałem realizmowi, on określał epickie prawdy sztuki. Jeśli porównywanie w sztuce jest możliwe, proza Lucjana Rudnickiego może być tylko porównana z niezrównanym dziełem Marii Dąbrowskiej, z epopeją „Nocy i dni”. Przyznam się, że jako czytelnik nie wyżyłem się nawyków domorosłego socjologa. Oba dzieła mówią swoje wielkie, realistyczne ośady o życiu swoich klas. Klasy ziemiansko-mieszczańskiej i klasy chłopsko-robotniczej.

Zdaje sobie sprawę z faktu, że oba te dzieła dzieli rozpiętość kilkudziesięciu lat, ale prawda sztuki nie jest prawdą chronologii. Dąbrowska odmalowała szkielet polskiego ziemiaństwa, awansu i nadzieje postępowej inteligencji i jej zmieniającej się roli w życiu narodu i stanowiska jej wobec obiektywnych dzieł historii kraju. „Stare i nowe” są artystycznym „drugim rozdziałem” polskiej epopei. Ukazują narodziny samoświadomości chłopstwa i małomieszczykowskiej klasy najemnej, jak z tych klas rodzi się klasa robotnicza. Ale nie tylko. Rudnicki ukazuje, jak nowa klasa zdobywa własną ideologię. Bo z ideologiami zgodnymi z prawami historii jest tak — doświadczenia rodzą uogólnienia. Rudnicki ukazuje, jak marksizm potwierdza się w doświadczeniach młodej polskiej klasy robotniczej. Ale jak ukazuje. Tu pojawia się niepowtarzalny talent pisarza. Rudnicki, na przykładzie własnego życia, przedstawia gradację narastających doświadczeń zgodnych z datami historii. Co więcej, możemy śledzić, jak obiektywna historyczna ideologia przełamuje się w ludzkich sumieniach. Tu zaczyna się wielka prawda epiki Lucjana Rudnickiego, prawda życia. Z zamie-

Ciąg dalszy na str. 3

Czesław Kuriata

Jakub po wojnie



rys. A. Jakubowicz

PROMIENIE słońca ślizgając się po krzakach wciskały się w gałęzie drzew, podcinały wysokie jabłonie pokryte soczystym, białym kwiatem. Wiosnę znać było wszędzie; tyle wiosen już przeszło, tyle ich Jakub przeżył, a czy któraś zmieniła coś w jego życiu... Może jak wszystko na świecie i jego życie zmieniło się, lecz tak powoli i w drobniostkach, że nie potrafił tego dostrzec. Gdyby tak mógł stanąć obok, w niedużej odległości, może wtedy dostrzegłby te zmiany, zobaczyłby siebie choć w części. Nie musiałby zastanawiać się co myślał o nim ludzie, przestanie o tym myśleć, aż do bólu w skroniach. Wydawało mu się, że jest już bardzo stary — w rzeczywistości miał dopiero trzydzieści dwa lata. Tyle już lat po wojnie. Kiedy wrócił, Kat była jeszcze dzieckiem — opowiadał jej ciekawe przygody, mówił o odwadze, silnej woli, szlachetności. Tak, tak, wojna to scena, ekran, na którym widać człowieka obdarzonego ze skóry, widać prawdziwego człowieka. Z ciężkim smutkiem w sercu wspominał lata wojny, tyle stracił na niej przyjaciół, sam wyszedł z osłabionym wzrokiem. Miał jednak do wojny jeden wielki sentyment — tu, jak nigdzie indziej, odwaga, bohaterstwo, szlachetność nie były podrobione, tych rzeczy nie dało się wtedy sfalszować. Od prawie dziesięciu lat jest spokój, odziedziczył po ojcu gospodarstwo;

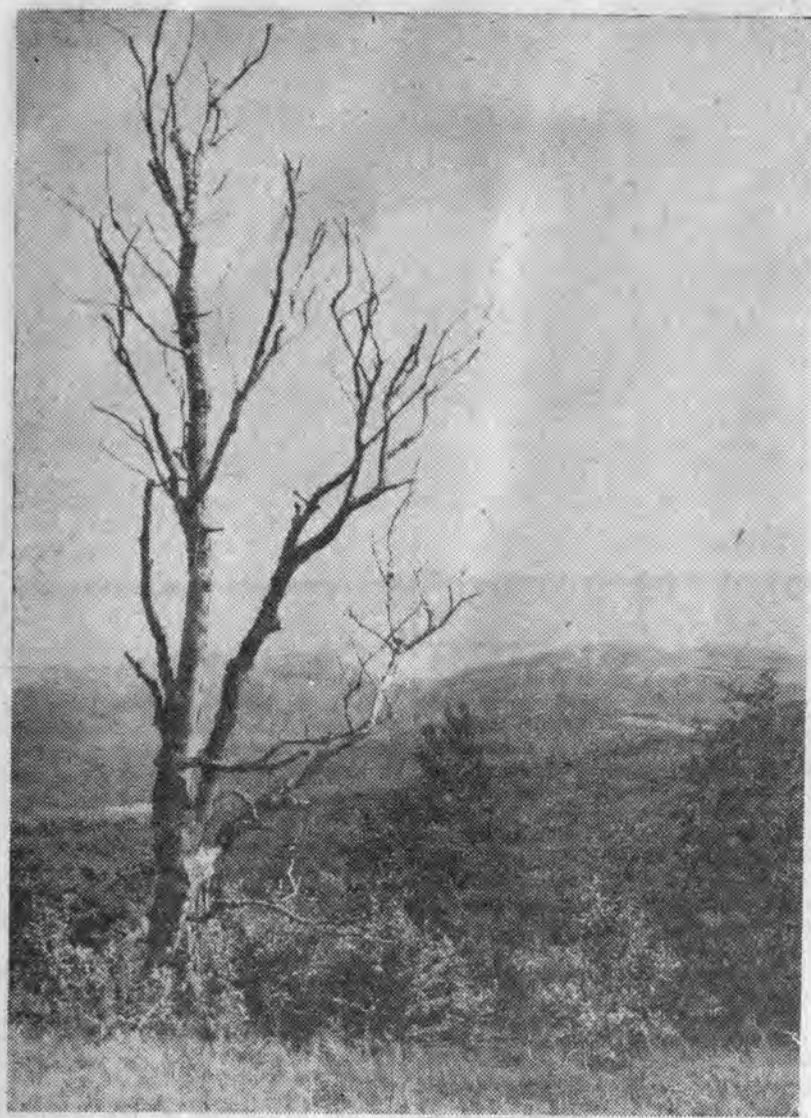
ileż ma teraz kłopotów, targów z handlarzami, z urzędami.

Wszyscy chcą wszystkich oszukiwać, przebiegłość i chytryść — oto co teraz popłaca. Oszukano go już nieraz, zarówno przy sprzedaży zboża, jak i wtedy, gdy kupował potrzebne narzędzia gospodarskie, Jakub na każdej transakcji handlowej przegrywał; jego dobrodusz na natura nie była zdolna do targu w imię jak największego zysku. Poszedł na wojnę jako młodzieńki chłopiec, ona go wychowała. Na froncie nikt nikogo nie oszukiwał, nie krzywdził, wszyscy byli równi w obliczu śmierci. Teraz zmieniło się do gruntu. Groźba śmierci odeszła bezpowrotnie, choć ludzie nadal umierali. Teraz każdy planował żyć ponad sto lat i dlatego gromadził zapasy i pieniądze na lat pięćset. Jakub często buntował się przeciwko temu; najgorsze dla niego były lata zaraz po wojnie. Teraz wyraźnie spostrzegł, że rezygnuje z siebie, ze swoich zasad i wbrew woli, przyjmuje naczelne hasło otoczenia: zysk i jeszcze raz zysk, dążenie do zdobycia jak największego znaczenia. Jakub z każdym rokiem stawał się coraz smutniejszy, ponury i mniej towarzyski. Od sąsiadów stronił, nie znoś ich obfudy. Od kilku lat troskliwie opiekował się gospodarstwem po ojcu, do pomocy miał tylko starą, głuchą ciotkę, która wykonywała wszystkie roboty kobiece. W ostatnich latach Kat stała się dorosłą dziewczyną i zaczęła pomagać ślabinowej ciotce. Ale i tak roboty wokół gospodarstwa wciąż było dużo.

— Jakubie, czemu nie ożenisz się wreszcie, przy gospodynie mógłbyś z gospodarstwem stanąć na nogi, dorobić się — mówiono do niego,

Jakub o tym wszystkim miał swoje zdanie. Najpierw wydał za żonę Kat, gdy ona będzie miała rodzinę, on pomyśli o swojej.

Od kilku lat był jedynym opiekunem siostry, zastępował jej matkę i ojca, nawet krewnych, którzy mieszkali gdzieś daleko w górach i rzadko do nich zaglądali. Wiedział, że przyszedł czas, w którym Kat trzeba wydać za żonę. Siostra urodziła się wśród huków armat, oświetlana świecami bombardujących samolotów — stąd piękna, surowa uroda. Marzył, aby wybrała za męża kogoś z najszlachetniejszych; kogoś, kogo on, Jakub dobrze poznał. Przez ich dom przewinęło się wielu kandydatów do ręki Kat, do niektórych siostra zaczęła się przywiązywać. Jemu jednak żaden nie odpowiadał, zawsze nie spełniał jakiegoś wymaganego warunku. Każdego zalecającego się brał na „próbę ognia” — jeśli przekonał się, że nie ma on romantycznego uwielbienia dla kobiety, dyskwalifikował. Kat uważała za godną najwznieślijszego ołtarza zbudowanego kiedykolwiek przez mężczyznę. Choć Jakub uchodził za gburę wobec kobiet, on sam czekał, marzył sam przed sobą o kobiecie, którą mógłby wielbić niczym największe bóstwo, przed którą mógłby być otwartym i szczerym jak konający na spowiedzi. Wspominał w duszy młodą, czarną dziewczynę, którą poznał w czasie kampanii wojennej we Włoszech; długo do siebie pisał, potem ślad o niej zaginął. Zdaje się, że w imię tamtej Włoszki, w imię swego wymarzonego ideału, chciał, aby jego siostra stała się dla kogoś spełnieniem tego wszystkiego, czego on nie osiągnął. Niech Kat będzie dla kogoś taką kobietą, o



W Bieszczadach Foto: Zdzisław Postępski

Ciąg dalszy ze str. 2

zrzonego pamiętnika narodziła się epopeja o pierwocinach polskiej rewolucji.

W trzecim tomie „Starego i nowego” Rudnicki udowadnia, jak wielkim problemem był judymowski kompleks osobistego szczęścia rewolucjonisty. Na tych kartkach nikną historyczne spięte historycznych postaci, i słusznie. Ludzie walczący o szczęście klasy robotniczej i narodu, walczący z myślami, czy mają prawo do szczęścia osobistego. To nie były rozważania mnichów, tylko ludzi najbardziej czułych na niepowtarzalność ludzkiego losu, ludzi ryzykujących najwięcej. Tę prawdę mógł wypowiedzieć tylko wielki pisarz, który na przykładzie własnego serca definiował frontowe prawa rewolucyjnej walki. A w sprawach serca przemawia sztuka, która rozumie i kruchosć ludzkiego losu, i historyczne przemiany w świadomości

mas reprezentowanych przez „pozytywnych bohaterów”, jeśli pretekstem o to teoretyczne miano może mieć w tym wypadku miejsce.

Rudnicki pracuje obecnie nad czwartym tomem epopei, której każdy tom stanowi całość. Akcja czwartego tomu pokryje się z czasem nowej książki Marii Dąbrowskiej, „Przygody człowieka myślącego”. Otrzymamy dwa negatywy jednego czasu, od 1905 do 1939 roku. W taki sposób, polska literatura zamknie swój pierwszy osąd o dawnej epoce, o skończonym rozdziale historii naszego narodu. Piszę — pierwszy, gdyż współzycie z historią i współczesnością jest kamieniem węgielnym sztuki. Sądzę, że będziemy wracać zawsze do dzieła uczestnika burzliwych przemian, gdyż nie ma wierniejszej prawdy niż pamiętnik zamknięty w epickim dziele sztuki.

WIESŁAW RUSTECKI

jakiej on marzył całe życie, niech Kat będzie dla tego człowieka wszystkim, niech jej ufa bardziej niż sobie, nawet bez dowodów zaufania. Pierwszy kandydat do ręki siostry skompromitował się zupełnie. W rozmowie z Jakubem zgadzał się we wszystkim, czasem zgadywał jego myśl i to sprawiło Jakubowi niebawome zadowolenie. Przy drugim ataku załamał się, był stracony.

— Czy Kat będzie panu wierna, czy pan jej wierzy — pytał podstępnie i prostacko.

— A, przyzwyczaj się, potem będzie stara, zresztą będę jej pilnował — roześmiał się pewnie młody człowiek.

Wtedy stało się coś bardzo niedobrego, wiadomo tylko tyle, że ów młody człowiek nie pokazał się u nich nigdy więcej. Podobnie było z innymi, choć Jakub coraz bardziej obniżał owe, na swój sposób stawiane, wymagania. Nikt dotychczas nie wytrzymał jego „ogniowych prób”. Ludzie zaczęli przebiegać, że Kat do końca życia będzie starą panną, a wszystkim winien on, jej despotyczny braciśzek. Co on sobie myśli, zmarnuje życie ładnej i rozsądnej dziewczyny: tylu było dobrych gospodarzów chłopców. Zastanawiał się i rozmyślał, czy dobrze postępuje: zawsze jednak dochodził do wniosku, że dla Sobra Kat warto, aby go ludzie nawet znienawidzili, aby Kat go nienawidziła. Kilka razy zabierał się, żeby wytłumaczyć jej sedno sprawy, wytłumaczyć o co mu chodzi — nie wiedział jednak jak ma do niej mówić, aby dobrze zrozumiała. Boł się też, czy Kat wysłuchawszy jego racji, nie wyśmieje nie rozumiejąc o co mu chodzi. Przychodziły chwile wątpliwości, i

o tym, czy to wszystko jest realne, i o tym czy jego zamierzenia mają sens. Może to nieosiągalne mrzonki? Był takim stanem przygnębiony, wiedział, że i Kat się męczy.

— Wyjędźmy stąd w górę, sprzeczmy wszystko i wyjędźmy jak najszybciej — prosiła często.

Nie starał się nawet pytać, dlaczego, według niej, będzie najlepiej jeśli wyjadą, czy to coś zmieni. Domyślał się, że z wyjazdem łączą jakieś zmiany, jakieś nowe życie dla niej i dla niego. Jakub wciąż chodził ponury i oswiały. Teraz, kiedy wczesna wiosna wpływała ożywiająco na cały świat, pograżony był w smutnej zadumie i rozmyśleniach. Myśli nie dawały mu spokoju nawet za pługiem, a sen przychodził z trudnością.

Dzień był wyjątkowo piękny, ziemia pachniała prawie jak świeży chleb, Jakub wracał z pola. Kat kończy dwadzieścia lat, zarosła w dzień jej urodzin spędzali całe popołudnie razem, to było ich wielkie, rodzinne święto. Dzień wspomnień, pełen majestatu — nawet stara — ledwo trzymająca się na nogach ciotka — ubierała się w świąteczną suknię.

Akurat rok temu, pojawił się jeden z najważniejszych kandydatów do ręki Kat, mówiono już nieoficjalnie o ślubie; Kat była szczęśliwa. Któregoś dnia po mądrej rozmowie, dość mądrej i jak przystało na ludzi poważnych, poważnej, Jakub zwykłym swoim sposobem zaatakował młodego człowieka. Ale i tym razem młodzieniec nie obronił się. Wtedy Jakub upadł w furję, zbliżył się i spojrzał mu groźnie w twarz, ich nosy prawie dotykały się końcami. Młody czło-

wiek spuścił oczy i zaczął drżeć. Tego było za wiele dla Jakuba.

— Uspokój się, Artur to dobry chłopak, kochany — mówiła potem cichutko Kat.

— Za dobry, szczególnie za kochany — odpowiadał opryskliwie.

Chciał tylko odwagi, odrobiny odwagi, odruch odwagi — jakże ten młodzieniec będzie bronił jego siostry, gdy zajdzie kiedyś tego potrzeba. Czemuż on nie był na wojnie — wyrwało się Jakubowi i natychmiast pojął się na niedorzecznym rozumowaniu. Przecież wojna to zło, największe zło; dlaczego ludzie muszą płacić aż taką cenę? Teraz nie narażają życia, więc stąd te zarodki tchórzostwa, co ich wstrzymuje przed odruchem odwagi... A jak jest z Kat, czy jest podobna im, temu pokoleniu?

Gdy Jakub znalazł się w podwórzu, Kat wybiegła na ganek, była w kolorowej, wiosennej sukience, włosy spletała w wianek nad głową. To jeszcze zupełnie dziewczynka — stwierdził wczesny wygląd siostry. Uczuł jakąś falę tliwości, dobroci z głębi serca. Wiedział, że dłużej nie będzie mógł być dla siostry surowym bratem i opiekunem. Kiedy przeszli do kuchni, Kat zakrzętała się wokół półmisek, potem nachyliła się do jego strony i powiedziała błagalnie:

— Wyjędźmy w górę, już od jutra zaczniemy przygotowania, tam będzie lepiej, weselej. Wyjędźmy z dolin, dobrze...?

— Wyjędźmy, wyjędźmy... odpowiedział zamyślony, nie zastanawiając się, że tą łatwą zgodą sieje podejrzenie w sercu siostry.

Ludzie „malujący słońcem”

O BRAZY słońcem malowane — tak lirycznie określił ktoś fotografię i nie sposób się z tym nie zgodzić, oglądając na wystawach i w prasie dzieła krajowych czy zagranicznych mistrzów kamery.

Ale spróbujcie tak sami „słońcem malować”. Zaraz okaże się, że światła jest to za dużo, to za mało, a zdjęcia wychodzą szare, przyćmione lub też zbyt jasne, z bladymi, niedopracowanymi szczegółami. Okaże się także, że dla uzyskania dobrego zdjęcia nie wystarczy umieć naciskać spust migawki, ale trzeba opanować trochę arkana optyki i chemii oraz napsuć sporo taśmy — popraktykować.

A jednak mimo znacznych trudności czyhających na początkującego fotoamatora, jakże wiele ludzi pada ofiarą tej rozszerzającej się epidemii. Jakże często poważny skądinąd człowiek, nauczyciel, robotnik, lekarz, czy inżynier (dotyczy to zresztą wszystkich zawodów) zaczyna nagle paradować wszędzie z aparatem i opowiadać wszystkim dookoła o zaletach lustrzanki, różnicy między Tessarem a Biotarem, itp.

Zona takiego „nawiedzzonego” z przerażeniem obserwuje, jak łazienka zamienia się nagle w laboratorium pełne chemicznych środków o podejrzanym zapachu, a cała rodzina błądzi nad szaleństwem ojca, który to biega całymi godzinami w poszukiwaniu obiektów do zdjęć, to znów zamyka się wieczorami w cieniu, surowo zakazując przeszkadzania mu w pracy.

Bakcył fotografii jest jednak niezwykły. Jak poinformował mnie pan Zieliński, kierownik sklepu „Fotooptyki” w Rzeszowie, placówka jego sprzedała w roku 1961 762 aparaty fotograficzne na sumę ponad 1.100.000 zł. Jeśli dodamy do tego „utarg” podobnych punktów w Jasle, Przemyślu, Stalowej Woli, Jarosławiu oraz innych sklepów prowadzących sprzedaż sprzętu fotograficznego otrzymamy niebagatelną liczbę około 1500 aparatów nabytych przez mieszkańców naszego województwa, tylko w jednym roku. A ile ich kupiono w ubiegłych latach?

Oczywiście nie każdy nabywca aparatu staje się fotoamatorem w pełnym tego słowa znaczeniu. Większość ogranicza się rzeczywiście tylko do uruchamiania migawek, w celu „uwiecznienia” swoich najbliższych, a następnie do odebrania z zakładu fotograficznego gotowych już zdjęć. Są jednak w Rzeszowie setki ludzi, którzy traktują fotografię inaczej, szukają w niej jakichś dróg wypowiedziania się, chcą nadać swoim pracom walory artystyczne. Ludzie ci nie pstrykają bezzmyślnie, ale starają się rzeczywiście „malować słońcem”, sami wywołują nasświetlone filmy i sami śleczą nad odbitkami, by po sumiennej obrób-

ce uzyskać prace o pełnej wartości artystycznej.

Ze ludzi tych są setki, świadczą o tym dziesiątki kółek i klubów amatorskich działających w domach kultury i przy zakładach pracy. Dowodem tego jest 280 egzemplarzy miesięcznika „Fotografia” rozprowadzanych w naszym województwie, a uwzględnić trzeba i to że ze względu na wysoką cenę pisma każdy egzemplarz czytany jest przez kilka osób. Szybko znika także z kiosków ra-dzieckie czasopismo „Sowietskoe foto” oraz podobne wydawnictwa w języku niemieckim.

Nasi fotoamatorzy mają niejednokrotnie niezłe rezultaty, ale o tym mało kto wie. W czasie swoich dziennikarskich wędrówek znajdowałem często w świetlicach wystawki fotograficzne, które zaskakiwały swoim poziomem i dowodziły, że organizowane przez różne instytucje i organizacje konkursy i wystawy fotograficzne nie są jeszcze odbiciem tego co posiadamy i pełnym przeglądem dorobku ruchu fotoamatorskiego.

Okazuje się, że obok starej gwardii uznanych i znanych fotografów (o których trudno nawet mówić fotoamatorzy), tworzy w naszym województwie niemało młodych, zdolnych ludzi, pracujących jednak w odosobnieniu i nieujawnionych szerszemu ogółowi.

Mają oni kiepskie warunki rozwoju. Prace ich znane są tylko znajomym lub towarzyskom pracy, trudno więc często mówić o właściwej ocenie, szerszej wymianie doświadczeń, czy konfrontacji jednych osiągnięć z innymi. Nie trzeba chyba tłumaczyć jak hamująco wpływa to na rozwój i podnoszenie poziomu naszego ruchu fotoamatorskiego, nie mówiąc już o tym, że sporo ciekawych fotografów uchodził uwadze społeczeństwa.

Przyczyną tego zaś jest brak właściwych form organizacyjnych ruchu fotoamatorskiego. W odróżnieniu np. od brydżistów czy filatelistów rzeszowscy fotoamatorzy nie mają bowiem żadnego związku czy stowarzyszenia. Toteż podczas gdy np. filateliści z Tarnobrzega mogą przyjechać (zorganizowanie) do Rzeszowa, by oglądać zbiory tutejszych swoich kolegów, a rzeszowscy np. zobaczyć inne zbiory na wystawie w Przemyślu, to fotoamator może prace np. Jacka Fischera zobaczyć jedynie w „Fotografii”, a o wystawie radzieckich fotografów Z. Postępskiego przeczytać w gazecie.

Trzeba tu dodać, że nie oznacza to, iż w Polsce nie ma organizacji zrzeszającej fotoamatorów. Jest. Ma piękną nazwę — Federacja Stowarzyszeń Fotograficznych w Polsce i powstała „na bazie” Polskiego Towarzystwa Fotograficznego. W skład FSF wchodzi regionalne towarzystwa fotograficzne działające w wielu województwach w oparciu o zatwierdzone przez władze centralne statuty towarzystwa.

Jeszcze w okresie istnienia Polskiego Towarzystwa Fotograficznego, w Rzeszowie powstał jego oddział, ale rozpadł się przed kilku

laty z różnych, raczej nie przez fotoamatorów zawinionych, przyczyn. Jego członkowie rozproszyli się, odeszli do różnych klubów fabrycznych, gdzie próbowali w większym kręgu osób prowadzić dalej swą działalność.

Czas jednak przekonał ich, że to nie wystarcza. Ramy klubu, którego działalność ogranicza się do jednego zakładu pracy, czy jednej miejscowości, okazały się za ciasne, a możliwości dyskusji, pogłębiania swojej wiedzy ograniczone.

Obecnie powszechnie już mówi się o potrzebie szerszego zespolenia się, konieczności wyższych, doskonalszych form organizacyjnych, a domagają się tego nie tylko byli członkowie PTF ale i młodzi ludzie, nauczyciele, którzy zetknęli się z fotografią na studiach, członkowie organizacji młodzieżowych i inni. Potrzeba ta wynika nie tylko z indywidualnych dążeń, ale także z roli, jaką fotografia może i powinna odegrać we współczesnym życiu. Nie trzeba tutaj chyba przekonywać o jej możliwościach, czy o tym, jak swoim charakterem odpowiada ona epoce, w której żyjemy.

Właśnie dlatego, chciałbym z postulatami utworzenia w ramach Federacji Stowarzyszeń Fotograficznych Rzeszowskiego Towarzystwa Fotograficznego, dyskusyjnym w grupach fotoamatorów, wystąpić na forum publicum.

Towarzystwo takie przez organizowanie kursów fotograficznych (początkowych i specjalnych), dyskusji, wymiany doświadczeń oraz wystaw — zarówno zbiorowych jak indywidualnych — wpływałoby z jednej strony na rozwijanie zamiłowań do fotografii artystycznej, podnosiłoby jej poziom, a z drugiej, stworzyłoby warunki do powszechnego oddziaływania na społeczeństwo właśnie za pomocą sztuki fotograficznej.

Chciałbym zaapelować do ludzi parających się twórczo fotografią, a szczególnie do byłych działaczy PTF o zespolenie wysiłków nad stworzeniem organizacji, która skupiałaby zarówno pojedynczych fotoamatorów, jak i całe kółka amatorskie. Chciałbym jednocześnie poprosić władze, Wydział Kultury Prez. WRN, instancje organizacji społecznych jak WKZZ, ZW PTTK które ostatnio wykazywały duże zainteresowanie fotografią amatorską, i organizowały szereg pozytywnych imprez — o pomoc w poczynaniach ludzi, chcących „malować światłem”. Niech ich utwory będą jeszcze doskonalsze, piękniejsze i niech radują jak najszerze rzesze społeczeństwa.

WITOLD SZYMCZYK

P.S. Czytelnikowi z Niska, podpisującemu się inicjałami So-Wa serdecznie dziękuję za list, który zdołał mnie do napisania tego artykułu. Natomiast uwagi o abstrakcyjności w fotografiach artystycznych są chyba zbyt apodyktyczne. Mogłyby jednak stanowić temat do dyskusji właśnie na zebraniu kółka Rzeszowskiego Towarzystwa Fotograficznego.



Student z Ghany

Foto Jarek Fischer

WŁODZIU robi wrażenie bardzo przyjemnego chłopca. Oceniając go „na oko”, trudno byłoby domyślić się kłopotów jakie sprawia wychowawcom, a nawet i milicji. Ruchliwe oczy nie tają chęci do dziecięcych psot i uśmiechów. Niesforne włosy zakrywają połowę czoła. Znamy jest z pogodnego usposobienia. Wiele bezdziejnych małżeństw własnie tak wyobraża sobie upragnionego syna.

A jednak...

Włodziu znany jest z tego, że... ma „lepkie ręce” — jak mówią o nim wychowawcy. Mimo swoich 14 lat ma on już, niestety, poza sobą kilkunastu kłopotów w tym zakresie. Kradnie dosłownie wszystko co mu się „nawinie pod rękę”. Na swoim koncie ma nawet duży akordeon; większość chyba od niepozornej postaci małego złodziejzaka. Ostatnio uciekł z Domu Dziecka i postanowił iść „przed siebie”. W czasie tej wędrówki spotkał innego, równego sobie wzrostem, ale o kilka lat młodszego chłopca. Zaproponował mu wspólny spacer za miasto. Gdzieś na odludziu sterroryzował swojego kompana i skradł mu ubranie.

Wyrokiem Sądu dla Nieletnich w Rzeszowie Włodziu skazany został na pobyt w Zakładzie Poprawczym. Spotkałem go w Łańcuckim Schronisku dla Nieletnich, gdzie znajduje się przejściowo.

Stoi teraz przede mną i pociągając nosem, lakonicznie odpowiada na zadawane mu pytania. Wyraźnie nie ma ochoty na oficjalną rozmowę; intrygują go odgłosy zabawy rówieśników, dokonujących jakichś dziecięcych rozrywek celulozową piłeczką na wąskim, zakładowym korytarzu. Jest znowu tylko małym, bezbronny dzieckiem, któremu chyba nawet trochę przykro, że spocilo...

Włodziu nie znosi samotności i może właśnie tutaj kryje się tajemnica skłonności tego osamotnionego dziecka, które całe życie bezskutecznie tęskniło za czyjąś miłością. Nie uwewnętrzniła mu jej matka, samotnie borykająca się z przeciwnościami losu; nie dało mu jej zajęcie swoimi sprawami, rozeźnienie. Chwilami nasuwa się uparta myśl, że Włodziu mógłby się czuć najszczęśliwiej wówczas, gdyby zapewniano mu jakieś abstrakcyjne warunki bytu, oddano mu na własność... dużego, wiernego psa — przy jaciela.

Czy Włodziu musi zostać przestępcą?

Iż analogii tkwi w gorzkich wspomnieniach przebywającego obecnie w więzieniu, wielokrotnie karanego złodzieja — recydywisty Roberta Puska. Piętnaście lat temu i on przebywał w zakładach poprawczych. O tym okresie swego życia pisze:

„Miałem wtedy dopiero siedemnaście lat. Błądziłem jeszcze nie w nocy, ale w wieczornym mroku. Wystarczyłoby mi wtedy kilka ciepłych i ludzkich słów, trochę światła i ręka, która by mi wskazała jedną z prostszych dróg”.

Ostatni etap prowadzącej tutaj drogi jest szablonowy. Sądy dla nieletnich w wypadkach poważniejszych przestępstw orzekają skierowanie młodocianego przestępcy do Zakładu Poprawczego. Dotyczy to młodzieży od 13 do 17 lat. Dzieci poniżej 13 lat kieruje się w takich wypadkach do pogotowia opiekuńczego. Bardziej skomplikowane są okoliczności poprzedzające samo wejście na drogę przestępstwa. Jeden z chłopców zapytany, dlaczego kradnie — odpowiada swobodnie i bez zażenowania:

— A czy ja wiem? Jak miałem siedem lat to z nudów próbowałem kiedyś starszą, zakrytą agafką otworzyć kłódkę przy kiosku żywnościowym. Udało się. Wszedłem do środka i po ochłonięciu, z pierwszym wrażeniem schowałem do kieszeni kilka czekolad i trochę cukierków. Gdy wychodziłem z kiosku pierwszy raz mnie złapali. I tak zostałem złodziejem. Teraz jak tylko jest okazja, to tak coś mnie dziwnie kuszą. Nie, żeby tego potrzebowałem, ale tak jakoś korci...

Na terenie Rzeszowszczyzny oprócz Pogotowia Opiekuńczego dla dzieci w Przemyślu oraz Schroniska dla Nieletnich w Łańcucie (pobyt w nim ma charakter przejściowy) znajduje się tylko jeden Zakład Poprawczy również w Łańcucie. W sąsiedztwie jest jeszcze duży Zakład Poprawczy w Tarnowie, gdzie też często kieruje się młodzież z tutejszego terenu. Są to placówki prowadzone przez Mini-

sterstwo Sprawiedliwości. Podobnego typu — ale posiadające o wiele łagodniejszy regulamin — Zakłady Wychowawcze, prowadzi Ministerstwo Oświaty. Jeden z tych zakładów znajduje się również na terenie naszego województwa w Lubaczowie.

Do zakładów poprawczych młodzież trafia za rozmaite przestępstwa. Najczęstsze uprawdnie są złodziejstwa, ale trafiają się i inne, a wśród nich nawet gwałty (przeważające wśród młodzieży wiejskiej) i morderstwa. Wśród wychowanków znajdują się i tacy, którzy mimo swej nieletniości są „pierwszej wody” recydywistami i do zakładów kierowani są nawet po raz czwarty. Bywają wśród nich też tacy, którzy mimo nawet 16 lat nie umieją czytać i pisać. Przeważa młodzież z rodzin przestępczych i niepełnych.

Ryszard
Stachnik

Włodziu duży pies i koledzy

Nie trzeba tu wyjaśniać jak trudna jest praca wychowawcy w takich warunkach. Nic też dziwnego, że zdarza się — jak miało to miejsce w pewnym konkretnym wypadku — że wychowawca w rezultacie zbyt ciężkiej pracy skierowany zostaje do szpitala dla psychicznie chorych.

Zmieniają się metody wychowawcze. Stosowane jeszcze w latach powojennych kara fizyczna należy do zasadzie do przeszłości. Stosuje się ją jeszcze tylko w wypadkach używania przez wychowanków „przemocy fizycznej”, lub niszczenia przez niego mienia państwowego. Coraz częściej jako zasadniczą metodę wychowawczą stosuje się pracę. Nawet w posiadających ostry regulamin Zakładach Poprawczych w Tarnowie, wyróżniający się zachowaniem wychowankowie szkolą się w rozmaitych specjalnościach, pracując w tamtejszych Zakładach Mechanicznych oraz w Zakładach Wytwarzających Silniki Elektryczne M-7. Warto tu wspomnieć, że chłopcy pracujący w tych zakładach wśród zwykłych robotników, pytani za co znaleźli się w „poprawczaku” bagatelizują te przyczyny, podczas gdy dotychczas nie grzeszyli skromnością i starali się swym zakładowym kolegą imponować zmyślnymi historiami o ogromie popełnionych przestępstw. Wstyd ten jest pozytywnym

zjawiskiem odradzającej się ambicji. Wskazują na to również okoliczności, jakie towarzyszyły kradzieży papierosów robotnika, dokonanej w październiku minionego roku przez jednego z wychowanków. Koledzy pobili złodzieja oraz wystąpili do dyrektora zakładu z petycją o natychmiastowe usunięcie go z ich grona. „Przynosi wstyd nam i zakładowi” — stwierdzili jednomyślnie.

W przeciwieństwie do mającej charakter zamknięty placówki tarnowskiej, Zakład Poprawczy dla Nieletnich w Łańcucie ma charakter całkowicie eksperymentalny — półwolnościowy. W internacie nie ma krat, a młodzież mieszka tam razem ze swym wychowawcą. Przed południem wszyscy pracują w miejscowych Zakładach Remontowych PKS, gdzie uczą się specjalności ślusarsza samochodowego. Po tygodniu nienagannego zachowania, w niedzielę przysługują wychowankowi dwugodzinna przepustka na miasto, a raz w miesiącu nawet cały dzień wolny celem odwiedzenia rodziny. Zakład tego typu istnieje w Łańcucie dopiero od 1 listopada 1961 roku, ale wyraźnym sukcesem stosowanych tam metod wychowawczych jest fakt, że w okresie świątecznym wszyscy wychowankowie pojechali na ferie do domu i również wszyscy wrócili do zakładu.

Oprócz nauki zawodu wychowankowie zakładów poprawczych mają również możliwość uzupełnienia swego ogólnego wykształcenia w zakresie szkoły podstawowej. Tak np. w łańcuckim zakładzie prowadzone są dwie łączne klasy — czwarta z piątą i szósta z siódmą. W godzinach popołudniowych pełne są świetlice zakładowe. Wychowankowie chętnie oglądają programy telewizyjne; organizują własne amatorskie zespoły sceniczne, wokalne czy muzyczne. Wyżywają się w kołach sportowych. Tak np. część wychowanków Zakładu Poprawczego w Tarnowie zaczęła ostatnio pilnie trenować boks w sekcji KS „Metal”. Sprawy wewnętrzne zakładów życia wychowanków to oddzielny, jakże bogaty temat. Fakt faktem, że wielu z nich czuje się tu lepiej nawet, niż w domu. Świadczy o tym m.in. list 18-letniego Staszka, który zwolniony w czerwcu ub. r. po 2-letnim pobycie w zakładzie, napisał teraz list z prośbą o ponowne przyjęcie, gdyż nie mając ukończonych 7 klas nie może znaleźć pracy i nie ma kto pomóc mu w ukończeniu nauki.

Cyfrы wskazują na wzrost przestępczości wśród nieletnich. W minionym roku sądy nasze rozpatrzyły o 3 tys. tych spraw więcej, niż w roku poprzednim. Również i na Rzeszowszczyźnie liczba ich wydatnie wzrosła. Dlatego też szczególne znaczenia nabiera praca zakładów poprawczych i wychowawczych. Zdamy sobie sprawę, że nie każdy wychowanek opuszczający mury tych zakładów, wraca do normalnego życia. Są i tacy, którzy nadal grzeszą w przestępczości. Ale chodzi o to, aby tych ostatnich było jak najmniej.

Wizerunek zreformowanego liceum — prawie gotów

W bardzo krótkim czasie, po przedłożeniu do dyskusji programu zreformowanej szkoły podstawowej, Ministerstwo Oświaty przygotowało plan nauczania liceum ogólnokształcącego, opartego na bazie szkoły ośmioletniej. Nie jest to wprawdzie jeszcze gotowy program, niemniej zawiera on wszystkie zmiany, które proponuje się wprowadzić w przyszłości do liceum.

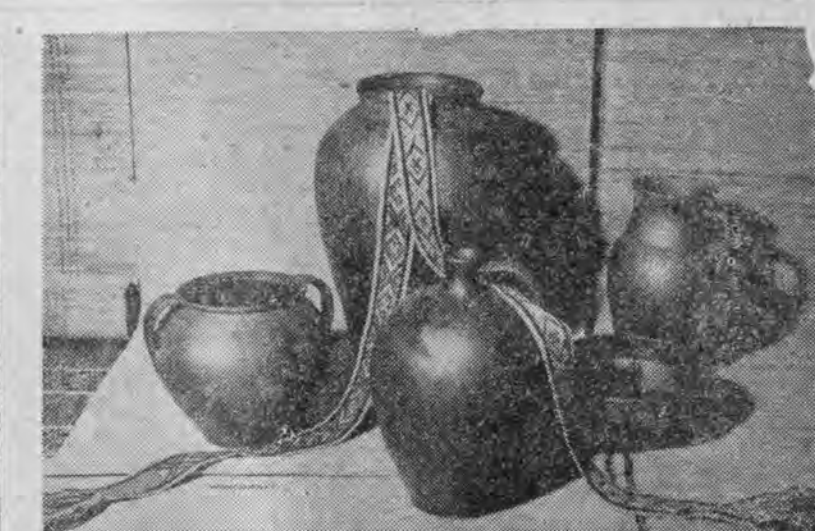
A więc sprawa zasadnicza — to decyzja podziału liceum ogólnokształcącego na dwa typy humanistyczny i matematyczno-przyrodniczy, co pozwoli młodzieży na wybór zgodny z jej zainteresowaniami i zdolnościami. Podział ten w konsekwencji pozwoli na lepsze przygotowanie do studiów wyższych w określonych kierunkach. Pozwoli to także na odciążenie uczniów od nadmiernej pracy nad przedmiotami mniej ich interesującymi.

Nie oznacza to jednak, że np. w liceum humanistycznym przedmioty matematyczno-przyrodnicze wykładane będą w minimalnym zakresie. Podstawowy za-

sób wiedzy obowiązywać będzie wszystkich bez wyjątku uczniów, zmieni się tylko zakres materiału oraz wymiar godzin przeznaczonych na poszczególne grupy przedmiotów, zwłaszcza w klasach starszych.

Jak wykazało doświadczenie wielu lat niecała młodzież z liceum ogólnokształcącego uczy się na wyższych uczelniach. Proporcje pomiędzy studiującymi absolwentami techników i liceów ogólnokształcących będą się zresztą nadal zmieniały na korzyść tych pierwszych. Dlatego też, obok przedmiotów ogólnokształcących, młodzież w liceach będzie miała więcej przedmiotów dających przygotowanie ogólnotechniczne, co pozwoli jej po ukończeniu nauki na szybsze opanowanie jakiegos wybranego zawodu. Temu m.in. celowi służy także decyzja lepszego wyposażenia pracowni i laboratoriów szkolnych.

Zapadła też decyzja o wprowadzeniu do szkoły ogólnokształcącej obowiązkowego nauczania dwu języków obcych — z tym jednak, że ich nauczanie nie może się rozpocząć jednocześnie.



SIWAKI

Fot — CAF

„Widnokrąg” odpowiada

„Ada” z Dębicy: Wiersz się nie udał. To tylko kilka dość zresztą ładnych myśli bez śladu konstrukcji i jednolitej formy. Nie wystarczy mieć coś do powiedzenia, należy zdecydować się na wybór określonego sposobu wypowiedzi. Poeta musi mieć świadomość środków wyrazu artystycznego. Nie należy się również łudzić, że już pierwsza próba wiersza może być wartościowa. Po wielu ćwiczeniach proszę znowu przysłać nam kilka utworów. Może wtedy ocena będzie bardziej sprzyjająca.

Ob. K. K. Besko: Z wiersza „Piękno Tatr” nie skorzystamy. To nieudolna rymowanka o wrażeniach z podróży. Nie ma żadnych wartości artystycznych.

Zdarzenia TYGODNIA

Z okazji XX rocznicy Polskiej Partii Robotniczej, Wojewódzki Dom Kultury w Rzeszowie organizuje szereg spotkań z działaczami partyjnymi.

Pierwsze spotkanie odbyło się 3 bm. Następnie odbędzie się pod koniec miesiąca. W spotkaniu tym wezmą udział prezes działaczy PPR byli członkowie Armii Ludowej i Gwardii Ludowej.

W dniu 17 bm. przewidziany jest odczyt mgr Stanisława Czerpaka o powstaniu i rozwoju PPR.

Utworzenie Klubu Literackiego — to marzenie wielu rzeszowskich miłośników pięknych słów. Jak się dowiadujemy powstanie tego typu placówki w Rzeszowie zaczyna przybierać coraz bardziej realne kształty, bowiem inicjatywę przejął Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna.

Teatr Lalki i Aktora „Kacperka” w Rzeszowie występuje obecnie z przygotowaną dla najmłodszych sztuką J. Pehra (tłumaczenie Jerzego Zaborskiego) pt. „Awantura w Pacynkowie”, którą reżyserował Stefan Stojakowski.

Następna premiera będzie „Syrenka” — pióra dyrektora „Kacperka” Maril Siedmiograjowej. Sztuka ta opracowana została w oparciu o baśń Andersena.

Coraz wyraźniejsze staje się zapotrzebowanie na wprowadzenie do programu szkoły przedmiotów o charakterze moralno-społecznym. Wprowadzenie elementów te powinny występować w całym procesie nauczania, niemniej jednak postanowiono przeznaczyć określoną liczbę godzin na naukę o społeczeństwie i obywatelskich prawach i obowiązkach. Ponieważ jednak będą to przedmioty zupełnie nowe, ich ostateczna treść musi zostać jeszcze dokładnie przedyskutowana.

Realizacji doczekały się także wielokrotnie wysuwane postulaty estetycznego wychowania młodzieży. Nie załatwi tego jednak dotychczasowy sposób traktowania takich przedmiotów, jak śpiew i rysunek. Dlatego też Ministerstwo Oświaty występuje z propozycją, by młodzież mogła wybierać jeden z tych przedmiotów dla dokładnego zapoznania się z historią określonej dziedziny sztuki, przeglądem stylów i kierunków. Będzie się to odbywało m. in. metodą demonstrowania nagrań magnetofonowych, reprodukcji i przeźrocz, kontaktu z muzeami.

Ob. L. E. Rzeszów: Piszę „Pomimo że wierszy nie cierpię postanowiłem spróbować szczęścia w poezji... I po co się zmuszać. I przyjemności autor nie ma i wiersz żalony. Tę „drogą” nigdzie nie dojdziecie.

Ob. J. z Cieszanowa: Wiersze słabe. Nie ma w nich wprawdzie rzucających nieudolności, są dość poprawne i kulturalne, ale równocześnie nijakie. Ani nie wskazują na szczególne bogactwo wyobraźni autorki ani nie przynoszą ciekawych oryginalnych myśli.

Ob. K. B. Nisko: — Z „myśli” nie skorzystamy. Nie grzeszą oryginalnością.

Ob. W. Al. Zjadliwa satyra na alkohol niestety nie nadaje się do druku, mimo patetycznego zakończenia: „Ty przekłeta wodo, ty gorzka i wściekła, nie ma innych diabłów na świecie i piekła”. Wiersz bije rekordy nieudolności i prymitywizmu myślowego.

Ze świata filmu

Nina Drobyszewa, młoda aktorka radziecka, która zwróciła ogólną uwagę swoją kreacją w filmie Grigorija Czuchraja „Czyste niebo” gra obecnie w filmie realizowanym przez wytwórnię „Luchina”. Film nosi tytuł „Najpierwsi”, a opowiada o życiu i pracy kosmonautów. Partnerem Drobyszewej jest aktor I. Puszkarew. Reżyseruje A. Granik.

Po blisko piętnastoletniej przerwie wrócił do filmu popularna gwiazdka amerykańska Deanna Durbin. Kręci ona obecnie w Hollywood film „Dwu dziesiąta siódma”.

Reżyser włoski Mauro Bolognini, który odkrył w 1960 r. Claudie Cardinale, dając jej pierwszą większą rolę w filmie La Viaccia, pracuje obecnie nad nowym obrazem z tą popularną już gwiazdą. Film nosi tytuł „Niedoleństwo”.

Vittorio de Sica, Federico Fellini i Luchino Visconti przenoszą na ekran trzy opowiadania, Boccaccia autora „Dekameronu”. Główne role w poszczególnych epizodach grają: Zofia Loren, Anita Ekberg i Romy Schneider.

Wojciech Siemion, którego zobaczymy niebawem w czeskim filmie Wojciecha Jasnego „Przeżyłem swoją śmierć”, gra główną rolę robotnika rolnego, Polaka Józefa Jakubowskiego w nowym filmie Defy „W imieniu narodu”.

Jacques Tati pisze obecnie scenariusz swego czwartego filmu. Bohaterem będzie znowu pan Hulot.

Reżyser francuski Marcel Carne zamierza przystąpić do realizacji nowej wersji „Damy Kamelowej”. W roli głównej wystąpi Anouk Aimée.

Kornel Makuszyński

Myśli

Optymizm wybujały jest chorobą taką samą, jak każda inna.

Podjęte jest życie — rzekła raz kobieta, której się przed samym balem zrobił przyszc na lewej łopacie.

I geniusze i bogowie mają swoje chwile słabości, których się potem wstydzą, kiedy im fachowa krytyka wykaże niekonsekwencje w dziele.

Kobieta ma w sobie rozwinięte bardzo poczucie przywiązania, po trafi się w istocie przywiązać do człowieka, nieraz nawet tak bardzo, że ją odwiązać potem trudno...

Człowiek nie na to mądrze żyje, aby głupio umierać.

Ze zbioru „Rzeczy wesołe” wybrała M. G.